

## Dekameron 2020

Magdalena Schreiber

### TROCHĘ O RZEźBIE, TROCHĘ O KACZKACH

Bardzo lubią go dzieci. W Magazynie Rzeźby w Królikarni, gdzie na ogół przebywa, stoi sobie na uboczu, wtłoczony na najniższą półkę, a mimo to „Kaczor” Magdaleny Gross łatwo przyciąga wzrok.

Od razu wiadomo, że to pan-kaczka. Dlaczego? A dlatego, że tylko kaczory mają na kuprze dwa pióra skręcone ku górze, w coś w rodzaju loczka. Rzeźba, przedstawiająca ptaka naturalnej wielkości, ma zwartą, syntetyczną formę i ten detal wyraźnie rzuca się w oczy. Podobnie jak jakby uśmiechnięty z lekka dziób i krótkie łapy, zdawałoby się zbyt cienkie, by podtrzymać solidny korpus. Jak się przyjrzeć, to kaczki po prostu tak mają. Fakt, że całkiem żwawo się przemieszczają na swoich cienkich nóżkach to jeden z tych cudów natury, których nie dostrzegamy, bo się po prostu do nich za bardzo przyzwyczailiśmy.

Połyskująca, jasnobrązowa polichromia na gładko opracowanej, gipsowej powierzchni miała prawdopodobnie sugerować metal lub może egzotyczne drewno. Z pewnością podkreśla formę, jest ciemniejsza w załamaniach skrzydeł i na podgardlu.

„Kaczor” stoi czujnie wyprostowany, z uniesioną głową. Nie wiadomo – szuka innych kaczek? Wypatruje niebezpieczeństwa? Może nie czuje się pewnie w obecności obserwatora? Przecież z punktu widzenia wielu zwierząt, ktoś, kto się zbyt uważnie przygląda, może być po prostu zainteresowany pożarciem obiektu.

Magdalena Gross, czuły obserwator zwierząt, sama nazywana przez przyjaciół „Szpakiem”, miała system pracy dostosowany do swoich wrażliwych modeli. Zaczynała od zaprzyjaźnienia się ze stworzeniem,

oswojenia go. Z czasem, gdy zwierzęta zaczynały traktować ją jak normalny element otoczenia, zaczynała je szkicować, a następnie modelować w glinie: od syntetycznego, niemal geometrycznego ujęcia całej sylwetki, przechodziła do detali. Zważywszy, że proces tworzenia rzeźby w ogóle nie należy do najszybszych, to trudno się dziwić, że każda figurka powstawała wiele miesięcy.

Kto wie, czy powstałyby „Kaczor” i inne rzeźby animalistyczne, gdyby nie przyjaźń z Antoniną i Janem Żabińskimi? Jan Żabiński, dyrektor otwartego w 1930 roku warszawskiego Ogrodu Zoologicznego miał opinię człowieka postępowego i otwartego. Pamiętam z dzieciństwa jego książki. Pisał o zwierzętach. Oczywiście, o zadziwiających zwyczajach różnych gatunków, ale też o całej sferze behawioralnej, o różnicach w postrzeganiu, o zmysłach, o konieczności zapewnienia odpowiednich bodźców. Dziś wydaje się to wszystko oczywiste, ale w latach pięćdziesiątych zdecydowanie tak nie było. Już zainstalowanie w klatce półki, na którą zwierzę mogło się wspiąć, miało posmak rewolucji. (Kilkadziesiąt lat później, dla kilkuletniej autorki eseju, te książki stały się objawieniem – wszystkie moje plastikowe zwierzaki dostały obszerne, starannie zaaranżowane wybiegi z licznymi półkami i punktami widokowymi – ot, siła literatury). I to właśnie Żabińscy zaprosili Magdalenę Gross do Ogrodu, tak się zaczęła jej przygoda z animalistyką. Artystka najchętniej rzeźbiła ptaki, jeśli chodzi o ssaki, to jak twierdziła, mniej je „czuła”. Zrobiła jednak m. in. portret słoniczki Tuzinki (imię miało swoje znaczenie, Tuzinka była dwunastym słoniem na świecie urodzonym w niewoli), z charakterystyczną krótką trąbą. Żabiński namawiał ją do głębszego zainteresowania się zwierzętami rodzimymi, wyrzeźbiła też więc łośkę (samicę łośa), żubra i niedźwiedzia. Ale, co tu kryć, mieszkańcami Zoo były w większości zwierzęta egzotyczne. Z nimi artystka przebywała bez mała

co dzień, one były dla niej normalnym otoczeniem. Obserwowała lamy, wielbłądy, żurawie i kormorany, a i gęsi, owszem, ale japońskie.

Dobrze, więc skąd w tym wszystkim bardzo lokalny kaczor? To zwykła kaczką krzyżówka, możemy takie sobie obejrzeć w każdym parku, a w gospodarstwach – ich udomowionych przedstawicieli. Oczywiście chodzi o czas. Nasza figurka powstała w latach 1945-6, czyli tuż po wojnie. A przecież w czasie okupacji Ogród Zoologiczny praktycznie przestał istnieć. Jego tereny zamieniono w gospodarstwo rolne. Zwierzęta, no cóż, te które miały szczęście być rzadkimi i cennymi okazami, zostały wywiezione do berlińskiego zoo. Reszta, w różnych okolicznościach zresztą, straciła życie.

A ludzie? W słynnej dyrektorskiej willi Żabińscy ukrywali, w różnych okresach, do kilkuset Żydów, wśród nich byli też Magdalena Gross i jej mąż, Paweł Zieliński. Diane Ackerman, która spisała piękną, okupacyjną historię Willi pod Zwariowaną Gwiazdą w książce „Azyl. Opowieść o Żydach ukrywanych w warszawskim ZOO”, stwierdziła, że wszyscy ludzcy podopieczni Żabińskich przeżyli.

Rzeźbiarka wróciła do pracy twórczej jeszcze w czasie wojny. Sportretowała Janinę Redznerową, kolejną osobę, która udzieliła jej schronienia. To dzieło podobno nawet uratowało im obu życie. Według córki Janiny, Zofii Czerwosz, kiedy gestapowcy weszli do domu z zamiarem przeszukania go, zastali rzeźbiarkę przy pracy nad głową i panią domu pozującą do rzeźby. Zaciekawili ich to, zadali kilka pytań i poszli, nie zważając na jednoznacznie semickie rysy jednej z kobiet.

Magdalena chciała jednak wrócić do animalistyki. Po uwolnieniu Warszawy pytała w listach do Jana Żabińskiego, kiedy zwierzęta pojawią się w Ogrodzie Zoologicznym. Tymczasem zwróciła uwagę na te, które widywała na podwórku: kury i właśnie – kaczkę.

„Kaczor” ujmuje swoim wdziękiem, świetnie ujętym ruchem, realizmem – ten ciężki kuper! – a jednocześnie powściągliwą elegancją. Jest coś wzruszającego w skromnej polichromii tej rzeźby – w 1946 roku nie było pewnie łatwo o odlew z brązu, zresztą – po co i dla kogo? Ogród Zoologiczny był zrujnowany. Magdalena Gross, ciężko chora na serce, nie dożyła jego ponownego otwarcia. W 2006 roku w warszawskim Zoo stanęły brązowe repliki „Koguta” i „Kaczora”.

Obserwacja zwierząt i praca twórcza mają pewien wspólny mianownik – to działania zgoła pierwotne, działające terapeutycznie na ludzki organizm. Zarówno jedne jak i drugie obniżają poziom kortyzolu, czyli „hormonu stresu” utrzymującego się dość długo w sytuacjach trudnych i po traumatycznych przeżyciach. Zafundujmy więc sobie post- a może okołopandemiczną terapię: porysujmy zwierzęta. Jeśli nie mamy w domu własnego kota czy psa, wyjdźmy na dwór, do lasu, do parku, na pobliski skwerek. I rozejrzyjmy się. Zawsze jakieś są: czasem właśnie kaczki, czasem pies sąsiada, wrony, wróble, szpaki. W nieuregulowanych stawach często można spotkać żaby. Zwierzęta miejskie są oswojone z ludźmi. Jeśli posiedzimy kwadrans albo dwa spokojnie, zwykle przestają się przybyszami interesować, zajmują się własnymi sprawami. Możemy wtedy lepiej im się przyjrzeć: jak się poruszają? Jaki ruch, jaka poza jest dla nich charakterystyczna? Można wtedy spróbować naszkicować je kilkoma kreskami – to nic, że całe „pozowanie” trwa piętnaście sekund, bo model ma ważniejsze sprawy na głowie; jeśli wybraliśmy dobry ruch – za chwilę go powtórzy. Albo on, albo jego kolega. Nie przejmujemy się, że nie jesteśmy Magdaleną Gross, nie o to chodzi. Z biegiem czasu pojawi się fascynacja: jakie to stworzenie jest doskonałe, jak perfekcyjne w swojej budowie, w kształcie, w ruchach. To forma medytacji, która pomoże przetrwać wszystkie trudności.

Albo można po prostu karmić kaczki. Byle nie chlebem, zblanszowane warzywa będą dużo bardziej odpowiednie.